

**Laureaci Nagrody M. St. Warszawy.  
Z Władysławem Zambrzyckim rozmawiał Jan Styczeń**

„Stolica”  
nr 2 z 12 stycznia 1958 r.

Warszawska nagroda literacka usankcjonowała niejako wybitną pozycję, jaką w literaturze polskiej zajmuje – lat kilkanaście przemilczany – Władysław Zambrzycki. Na szczęście – czasy przemilczania tak wartościowego i tak na wskroś oryginalnego pisarstwa należą już do przeszłości. „Pamiętnik Filipka” przyjęty został przez publiczność entuzjastycznie (dwa wydania w ciągu roku) i ostatnio wyróżniony nagrodą Warszawy; świeżo także wznowiono jedną z przedwojennych książek Zambrzyckiego. Jest to „Nasza Pani Radosna”, utwór napisany lekko i żartobliwie, a przecież nie bez głębszej myśli, świadczący zarówno o oryginalności talentu autora, jak i o jego bogatej erudycji.

Cóż to za powieść? Przyjrzyjmy się jej okiem historyka literatury, który taką dawał o niej opinię: „Autor musiał się zagłębić w studiach antyku, o czym świadczą wprowadzone do opowiadania tło obyczajowe i charakterystyka starożytnego społeczeństwa rzymskiego. Niemały wpływ wywarły nań dzieła Tadeusza Zielińskiego o hellenizmie i judaizmie, czego wyraźne ślady widać nie tylko w obrazach i opisach kultów religijnych, rzymskiego, żydowskiego sekciarsko-chrześcijańskiego i mitraickiego, ale zwłaszcza w ideowym wątku powieści, której punktem kulminacyjnym jest przemiana posągu pompejańskiego Junony w cudami słynący posąg Matki Boskiej w belgijskiej mieścinie Franchimont oraz przemiana przeniesionego z czasów Tytusa w naszą epokę kapłana Junony w proboszcza katolickiego. Ten właśnie kult pogodnego, zhellenizowanego i odjudyzowanego chrześcijaństwa jest myślą przewodnią „Naszej Pani Radosnej”, podstawą jego poglądu na świat, najlepszy ze wszystkich światów. Zambrzycki z łatwością przechodzi od swawoli do najpoważniejszych zagadnień, a wzorem literackim mógł mu być „Klub Pickwicka” Dickensa. Opowiada Zambrzycki bowiem z dużym wdziękiem i z rzetelnym humorem.

Tyle o „Naszej Pani Radosnej”, jeśli czytelnik nie zdążył jeszcze zawrzeć z nią znajomości. „Pamiętnika Filipka” nie ma chyba potrzeby omawiać, bo któż z nas nie jest w nim zakochany? Można tylko dodać, że w czasach ostatnich nie zectknęliśmy się pewnie z inną książką tyleż uroczą, co ciekawą, bezpretensjonalną, zabawną, pouczającą i pełną pogodnego humoru.

Maleńki pokój autora „Filipka” przedzielony jest jeszcze na dwie części. Ta, w której siedzimy (dwa kroki wzdłuż i jeden wszerz) mieści stół, dwa foteliki, półkę z książkami – i klatkę z papugą; ptaszysko jest milczące i nastroszone.

Jak przystało na sumiennego interlokutora, pragnącego wiedzieć wszystko od początku, pytam:

– *Jak się odbyły Pańskie prymicje literackie?*

Zambrzycki wzrusza lekceważąco ramionami.

– W żółtych książeczkach ROJ-u. Tematyka? Różne tam takie rzeczy historyczno-podróżnicze. Nie warto nawet o tym wspominać.

Nie zniechęcam się tą odpowiedzią i pytam dalej, wiedząc, że Zambrzycki ma ukończone studia chemiczne, interesuję się, czy impuls skłaniający go do pisania powstał po rozbracie z chemią? Okazuje się, że pierwsze utwory datują się z czasów studiów w Belgii, jeszcze przed pierwszą wojną światową, i drukowane były w tamtejszym czasopiśmie studenckim.

– *A poważniej?*

– Był to tom „Większa z kropelkami”, wydany w roku 1929, zawierający opowiadania, do których nie przywiązuję wagi.

Przypominam sobie te opowiadania, więc protestuję przeciw lekceważącej opinii autora. Wiem przecież, że tomik ów zdobył sobie dużą popularność, a i dziś jeszcze w uczonej księdze można o nim wyczytać osąd odmienny: „tom dowcipnych i z dobrą swadą opowiedzianych humoresek”.

– *No więc – mówię – ogłaszamy amnestię dla „Większej z kropelkami” i zabieramy się do „Naszej Pani Radosnej”, wydanej po raz pierwszy w roku 1931. Czy zachowały się Panu jakieś wycinki prasowe, ilustrujące sposób jej przyjęcia wówczas?*

Niestety, wszystko uległo zniszczeniu. Dopiero teraz jeden z kolegów przysłał Zambrzyckiemu wycinek z ówczesnych „Wiadomości Literackich” z recenzją prof. Leona Piwińskiego. Wynotowałem stamtąd trzy zdania: „Przepyszny żart literacki napisany z wielkim smakiem i nie mniejszym talentem. Powieść historyczna w założeniu fantastycznym, potraktowana na wesoło, w doskonale utrzymanym stylu *picaresque*... Erudycja autora jest niewątpliwa, ale nie ma w niej ani cienia pedantyzmu – służy ona tylko do celów wyrafinowanej humorystyki dziejowej...”.

Odkładam wycinek i pytam:

– *Czy nie przypomina Pan sobie innych opinii?*

Z gardziółka milczącej dotąd papugi wydarł się wesoły skrzekot.

Roześmiał się i Zambrzycki:

– Ano, efekt był taki, że wszyscy się na mnie pogniewali. Endeków rozeźliło to, że jedyną w pewnym sensie dodatnią postacią był Żyd Ruben, Żydzi obrazili się za wyciągnięcie ze Starego Testamentu rudej krowy odpuszczającej, jak wiadomo, grzechy całej gminie, socjaliści mieli za złe żarty z ubezpieczeń społecznych, zaś pewien organ sfer drobnomieszczańskich zawyrokował po prostu: w szanującym się domu nie ma miejsca dla książki p. Zambrzyckiego. W pismach prowincjonalnych wreszcie, zależnie od ich barwy, zarzucano mi na przemian: to świętoszkowatość, to znów niesmaczne żarty graniczące z bluźnierstwem.

Autor bawi się tym wspomnieniem z dziecinną wprost radością.

– *Wiem od wspólnych przyjaciółek, że pisał Pan w czasie wojny.*

– Tak, napisałem monografię najmniejszego państwa w Europie.

– *Monaco? Liechtenstein? San Marino? Andora?* – zagaduję.

– Ależ Panie, to są wszystkie mocarstwa w porównaniu z moim Moresnet.

– *A cóż to za dziwo?* – pytam, myśląc, że żartuje.

– Suwerenne państwo liczące ponad dwa tysiące obywateli, zaanektowane przez Belgię po pierwszej wojnie światowej. Jest o nim wzmianka w Traktacie Wersalskim.

– *Był Pan tam?*

– A jakże. Nawet tam mieszkałem. Ze zwiedzeniem państwa nie było kłopotu. Aby pan mógł sobie wyobrazić jego wielkość, zobrazuję to panu przykładowo: otóż wybudowano tam Ratusz, będący jednocześnie siedzibą parlamentu i głowy państwa, a mieszczący w sobie również bibliotekę i żłobek. Niestety rozmachowi budowniczych nie sprostały rozmiary państwa, wobec czego fronton ustawiono na własnym terenie suwerennym, przybudówki zaś i podwórza były już za granicą, to jest w Niemczech.

– *„Pamiętnik Filipka” napisał Pan, zdaje się, wkrótce po zakończeniu wojny?*

– Ostatnią kropkę postawiłem w roku 1951. Wydaniu tej książki, jak pan wie, nie sprzyjały warunki, więc musiałem poczekać lat kilka. Dopiero po odwilży, w roku 1956, mógł Filipiek porozmawiać sobie z warszawską publicznością.

– *Jestem gorącym wielbicielem tej książki i życzę Panu rychłego wydania trzeciego. Noszę się z zamiarem zaproponowania redakcji „Stolicy” założenia Klubu Filipka.*

Papuga zaskrzeczała po raz drugi.

– Niech pan nie zwraca na nią uwagi – powiedział ojciec Filipka. – To urodzona pesymistka.

– *No cóż, niełatwo być prorokiem we własnym domu. A co Pan pisze obecnie? Choć uwieńczono już Pana laurem, nie zamierza Pan chyba spocząć na laurach?*

Zamiast odpowiedzi Zambrzycki sięga ręką za siebie i wydobywa z półki okazałych rozmiarów maszynopis, upstrzony poprawkami.

– Zawarłem umowę z: „Czytelnikiem” na napisanie książki, która będzie nosić tytuł „Kwatera Bożych Pomyleńców”. Rzecz dzieje się w Warszawie, w czasie Powstania. Nie będzie to jednak książka o Powstaniu, choć jej akcja rozgrywa się na tle Powstania. Bohaterami są czterej starsi panowie, rozprawiający o znikomościach tego świata, w lokalu wypożyczalni książek na ulicy Żurawiej.

– *Objętość?*

– Mniej więcej jak „Nasza Pani Radosna”.

– *Widzę, że sporo Pan już napisał.*

– Pewnie jakieś trzy czwarte całości. No i jeszcze poprawki, oszlifowanie. Termin mam do pierwszego marca. Może zdążę.

Czytam pierwsze kartki. Znakomite. Książka rozpoczyna się od charakterystyki czterech bohaterów powieści. Dużo humoru.

Proszę Zambrzyckiego o jakiś fragment dla „Stolicy”. Wszakże to nowa powieść warszawska. I wydarzenie tym większe, że autorem jej jest laureat Warszawy.

Wybieramy ów fragment – czytelnicy znajdą go w jednym z następnych numerów „Stolicy” – i żegnając się, dziękuję zań autorowi w imieniu czytelników naszego pisma.

Zambrzycki kiwa głową:

– Czytelników, dobrze pan powiedział. Bo czytelniczki będą pewnie rozczarowane, a może nawet nie zechcą w ogóle czytać mojej książki.

– *A to czemu?*

Zambrzycki spojrział ukosem na papugę, po czym nachylił się do mnie i wyszeptał:

– Tam nie ma nic o miłości. Nic a nic o miłości – powtórzył.